

Remigiusz Grzela

Laudacja

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 23, 241-244

2015

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

REMIGIUSZ GRZELA

Laudacja

Wszystko zaczęło się od wątpliwości na wodzie. Chciał sprawić ojcu przyjemność, więc zaczął trenować pływanie. Trenował tak dobrze, że wystartował na mistrzostwach szkół w Poznaniu na 200 metrów stylem klasycznym, ale po stu, kiedy prowadził o całą długość, naszły go wątpliwości.

Płynąłem, płynąłem, pchałem teź pod wodę i nagle pomyślałem sobie, co ja właściwie robię.

I postanowił, że zostanie aktorem. W szkole zaczął od utożsamiania się. Właściwie od uczenia się utożsamiania. Kiedy miał toczyć się po podłodze jak jajko, odmówił.

- *Dlaczego, Januszu, nie chcesz się tak jak wszyscy toczyć?* – zapytała go profesor Wiercińska.

- *Bo ja się, pani profesor, wstydzę* – odpowiedział. I wówczas po raz pierwszy oskarżono go o cynizm.

Później oskarżano go o cynizm tak skutecznie, że śmiało można powiedzieć, że bez Janusza Głowackiego nie byłoby lat 60., z pewnością też 70. itd. itd.

A już na pewno te lata nie przeszłyby do legendy.

Ze szkoły teatralnej – jak mówił – wyrzucony za brak talentu i cynizm, poszedł na polonistykę, a w pewnym momencie zaczął pisać recenzje teatralne, żeby odegrać się na profesorach, którzy go ze szkoły wyrzucali.

Potem postanowił, że zostanie pisarzem. Kiedy ogłosił to swojej mamie, znanej redaktorce, odepchnęła go ze strachu, że będzie musiała go wydawać.

W 1969 roku powstaje film Andrzeja Wajdy „Polowanie na muchy” ze scenariuszem Janusza Głowackiego. Główne role grają Małgorzata Braunek i Zygmunt Malanowicz. Wajda tłumaczył, że wówczas, zniechęcony niepowodzeniem u kobiet postanowił się z nimi rozprawić opowiadaniem Janusza Głowackiego, którego tematem jest to, jak kobiety kształtują życie mężczyzn.

Całkiem niedawno, po premierze odnowionej cyfrowo wersji filmu recenzenci pisali, że to kaśliwy obraz warszawskiej bohemy i podkreślali, że w końcu film zerwał się z łańcucha.

Zawsze będziemy już pamiętać brawurową rolę Małgorzaty Braunek, jej uśmiech i jej wielkie słoneczne owadzie okulary. Film stał się symbolem epoki i zdaje się dzisiaj radzi sobie o wiele lepiej niż wówczas.

Rok 1970 to premiera legendarnego filmu „Rejs”, którego twórcami są Janusz Głowacki i Marek Piwowski. Nie wiem, czy jakikolwiek polski film jest tak często cytowany, obdarzany taką czułością i kultem, tak intymnie wręcz przez widzów traktowany. Stał się symbolem polskiego kina.

- Byliśmy ostatnio z żoną, proszę pana, w Hali Mirowskiej, gdzie ja miałem aparat Zorkie 5, zrobiłem kilka zdjęć.

Tym zwierzeniem Jan Himilbach skłonił z kolei do innego zwierzenia Zdzisława Maklakiewicza: *Ja w ogóle nie lubię chodzić do kina, a w ogóle nie chodzę na filmy polskie. Nudzi mnie to po prostu. Zagraniczny to owszem, pójdę sobie, fajne są filmy zagraniczne. Wie pan, można je jakoś tak ja wiem, przeżyć. Wie pan, przeżyć. A w filmie polskim, proszę pana to jest taka nuda – nic się nie dzieje, proszę pana. Dialogi niedobre, bardzo niedobre dialogi. W ogóle brak akcji jest. Nic się nie dzieje. Aż dziw bierze, że nie wzorują się na zagranicznych.*

Film ten miał znaczenie dla wielu dziedzin i gałęzi, również naukowych, takich jak weterynaria. W końcu nazwano odgłos paszczowy konia – Patataj patataj patataj.

Dziś trudno zrozumieć, że film „Rejs” miał tak poważne kłopoty i przeszkody. W czasie jego kolaudacji, jak wspominał Janusz Głowacki, wszyscy zebrani zgodzili się, że „Rejs” to klęska. Był nawet pomysł pocięcia go na dziesięciominutowe części, które chciano puszczać w telewizji po „Dzienniku”. W swojej kapitalnej książce „Z Głowy”, którą zmuszony byłem wykraść z pewnego mazurskiego pensjonatu, żeby doczytać w drodze do Warszawy, Janusz Głowacki pisał: *Owszem, narzekano, że statek płynie pod prąd, koryto robi się coraz węższe i zapada noc, co robi na widzach przykre wrażenie, a nawet ich zasmuca. Na dodatek Himilbachowi ginie z talerza kielbasa, co już jest aż za nachalną aluzją do trudności na rynku mięsny. Ale w związku z tym, że film jest tak zły i głupi, potraktowano go łagodnie. Mianowicie po przycięciu paru scen, wyrzuceniu maski świni ze sceny balu, bo wszyscy wiemy o kogo chodzi, i wyrzuceniu gry w dwuosobowego salonowca, żeby sobie ktoś nie pomyślał, że to partia bije inteligenta po dupie, zapadła decyzja, że tak. Tyle że nam było salonowca okropnie żal.*

„Z Głowy” to jedyna książka ukradzioną, jaką mam na sumieniu, i z której musiałem się spowiadać.

W 1972 roku powstał kapitalny film Janusza Morgensterna „Trzeba zabić tę miłość” z debiutującą wówczas Jadwigą Jankowską-Cieślak. Scenariusz napisał oczywiście Janusz Głowacki. Morgenstern mówił po latach, że zmieniłby w tym filmie tylko jedną rzecz. Tytuł. Skróciłby do „Zabić tę miłość”, bo mocniejsze. Powstał przenikliwy portret ludzi młodych przełomu lat 60. i 70.

Janusz Głowacki mówił: *Gdzieś startują rakiety na Księżyc. Odlicza się – trzy, dwa, jeden, zero... W miłości istnieje też ten moment odliczania czasu w dół. Od najwyższego napięcia uczuciowego – do zera. Od uniesienia do obojętności. Od nadziei do rezygnacji. Zero przy starcie w kosmos może być początkiem triumfu. Na zerze kończy się odliczanie miłości. Potem były filmy „Choinka stra-*

chu”, „Billboard” i w końcu kolejne spotkanie z Andrzejem Wajdą „Waleśa. Człowiek z nadziei”.

Joanna Chmielewska, autorka kryminałów, których nie sposób nie kochać, mówi że literatura jest po to, żeby się trochę pozemszczać. I zdaje się trochę pozemszczał się Janusz Głowacki również w swojej książce „Przyszłem czyli jak pisałem scenariusz o Lechu Waleśie dla Andrzeja Wajdy”. Pisał na przykład: *Jak tylko reżyser powie czasem dobre słowa, pochwali, poczęstuje kawką albo szarlotką, albo zaprosi na plan, to ja się od razu wzruszam, rozczulam, czasem płaczę i na dobry tydzień przestaję latać po mieście, gadać złe rzeczy i intrygować. Piszę to teraz, bo się przestraszyłem. Otóż bardzo ważna osoba z mediów po jednym pokazie wzięła mnie na bok i powiedziała:*

- Niech pan przestanie latać i obgadywać, bo to jest bardzo dobry film. Zdennerwowałem się i zacząłem sobie przypominać, co ja komu nagadałem, potem pomyślałem, że może mój telefon jest na podstuchu? Jak w komunizmie?

W ten sposób doszliśmy z kina do literatury, a przecież obie te sfery były w zyciorysie Janusza Głowackiego właściwie równoległe, a nawet przecinały się.

Wydawał opowiadania i powieści: „Wirówka nonsensu”, „Nowy taniec la-ba-da”, „My sweet Raskolnikow”, „Moc truchleje”. O tej ostatniej książce recenzent „Paris Match” pisał: *Jest to jeden z piękniejszych tekstów jakie czytał o mechanizmach i kolejach losu petzającej kolaboracji. I o odwadze tych, którzy pewnego dnia potrafią powiedzieć, nie’. Jeżeli możecie sobie pozwolić na przeczytanie tylko jednej książki o Polsce, radzę wam wybrać właśnie tę.*

W Polsce powieść ukazała się w podziemiu. Jej tłumaczenia wydano we Francji, Anglii, Niemczech, Szwajcarii, Grecji, Turcji, i Stanach Zjednoczonych.

W grudniu 1981 roku Janusz Głowacki wyjechał na premierę swojej sztuki „Kopciuch” w Royal Court Theatre w Londynie. Reżyserował Danny Boyle, późniejszy autor filmów „Trainspotting” i „Slumdog. Milioner z ulicy”. Kiedy kilka dni później wybuchł stan wojenny, postanowił zostać za granicą. Od 1983 roku mieszkał w Nowym Jorku.

Przedstawiciele władzy w Polsce zaczęli lepiej sypiać, może na chwilę nawet przestali się bać, bo dotąd bezlitośnie portretował ich i absurdy rzeczywistości w swoich felietonach. A karierę felietonisty zaczął z hukiem. *Pisał po latach: Akurat ukazała się wyjątkowo wredna i żałośnie napisana powieść ulubieńca władzy Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego o marcu '68 pod tytułem „Głupia sprawa”. Złego słowa nie wolno było o niej napisać. No to całkiem poważnie porównałem ją z Ulissem Joyce’a. Wskazałem podobieństwa i różnice w podejściu do literatury pisarza polskiego i jego irlandzkiego kolegi. Zacząłem dostawać listy, że owszem, powieść Dobrowolskiego dobra, ale Ulisses jeszcze lepszy.*

Światową sławę przyniosły Januszowi Głowackiemu sztuki teatralne. Żartował, że kiedy w Polsce złe recenzje, sukces na świecie murowany. Sztuka „Kopciuch” trafiła do wielkiego Arthura Millera, autora „Czarownic z Salem” i krótko męża Marilyn Monroe, który stał się wielkim admiratorem dramatów Janusza Głowackiego. Miller posta-

nowił zarekomendować „Kopciucha” Josephowi Pappowi, ważnemu amerykańskiemu producentowi i reżyserowi teatralnemu, ten posłał tekst do nagrodzonego Oskarem aktora Christophera Walkena, który po lekturze bardzo chciał w sztuce Janusza Głowackiego zagrać. A spektakl wyreżyserował John Madden, autor późniejszych filmów „Zakochany Szekspir”, „Dowód”, „Hotel Marigold”.

Sztuki Janusza Głowackiego „Fortynbras się upił”, „Polowanie na karaluchy”, „Antygona w Nowym Jorku”, „Czwarta siostra” realizowane były na całym świecie często przez najważniejszych reżyserów, żeby wymienić choćby jeszcze Arthura Penna, a grali w nich najznakomitsi aktorzy: Dianne Wiest, Jean Louis Trintignant, a w Polsce na przykład Piotr Fronczewski.

W ostatnich latach Janusz Głowacki wydał kolejne powieści „Ostatni cieć”, czy „Good night Dzerzi”, którego bohaterem jest Jerzy Kosiński. Również wybór opowiadań „Sonia, która za dużo chciała”, wznowiona ostatnia w kolekcji 20-lecia Świata Książki.

Janusz Głowacki otrzymał wiele nagród, m.in. nagrodę Stowarzyszenia Amerykańskich Krytyków Teatralnych, nagrody Tony Cox, Johna S. Guggenheima, hollywoodzką Drama-Logue, a także nagrodę im. Czesława Miłosza.

Wybitny pisarz Eustachy Rylski mówił niedawno z pewną zazdrością: *Żadna mitologia nie wyniesie nas ponad ogół jeżeli nie uzna, że jesteśmy gotowi ją przyjąć i, co dużo trudniejsze, unieść. Przychodzi mi na myśl cała grupa pisarzy, którzy byli na to gotowi; Hłasko, Tyrmand, Iredyński, Grochowiak, Brycht, Nowakowski, Głowacki, w jakimś stopniu, choć trudno mi się z tym pogodzić, Himilsbach. Pozostaną wraz ze swymi dziełami w polskiej literaturze tak długo jak ona będzie trwała.*